

Czas wojny w Puźnikach - wspomnienia Bogusława Krowickiego

Puźniczanie coraz częściej rozmawiają już tylko o niej. Pod koniec sierpnia 1939r. na drzwiach „kółka”, sklepu dziadka Maksia, zawisł ogromny plakat, na którym pokazany był żołnierz w masce przeciwgazowej. Domyślano się, a nawet stało się niemal pewne, że wojna z Niemcami jest nieuchronna. Te przypuszczenia potwierdziły się bardzo szybko, bowiem ogłoszono mobilizację i nastąpił nagły pobór do wojska.



Dnia 1 września 1939r o godz. 4,45 Niemcy całą swoją potężną armią uderzyły na Polskę. Polacy na zawsze zapamiętali, jak hordy niemieckie wylały szlabany graniczne i przypuszczały szturm na Westerplatte o tej właśnie godzinie. Ten dzień zapamiętałem na całe życie, przeżyłem w straszliwym szoku i strachu, uciekając przed siebie i gdzieś tam w Klukowie schowałem się pod obrokiem pokrytym słomą, skąd w przerażeniu obserwowałem ogromne ilości samolotów na niebie. Wieczorem 1 września, gdy powróciłem do domu, zdziwiło mnie bardzo, że koło naszego domu leciały jakieś świecące kulki, które ścinały rosnącą obok kukurydzę. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Później się okazało, że były to pociski rozrywające tzw. dum-dum, a ja nieświadom tego do nich leciałem, by sprawdzić, co to jest.^[1] Na szczęście tato zabrał mnie do domu, gdzie byłem bezpieczny.

Kilka dni później Ojciec Szczepan i wielu innych mężczyzn zostało zmobilizowanych do wojska pozostawiając w niepewności i strachu swoje rodziny. Idący na front zbierają się przed sklepem dziadka **Maksia**. Jest płacz i lament żegnających rodzin. Po krótkim czasie zostaje utworzona kolumna obrońców ojczyzny, która rusza ze śpiewem „Bożę coś Polskę...”.

Kolejne dni Puźniczan miały w ogromnym stresie, rozpacz i obawie o żołnierzy, którzy wyruszyli na front. Po kilkunastu dniach od wybuchu wojny 17 września 1939 r. wojska radzieckie przekroczyły granicę Polski i to był jak mówiono zadany nóż w plecy dla Polaków.

W krótkim czasie po tych wydarzeniach żołnierze zaczęli powracać z rozbitych oddziałów do swoich bliskich. Zaczęły krążyć wieści, że Polska się rozpadła. Rozpoczęła się straszliwa okupacja. Dwa potężne mocarstwa rozdzieliły ją między siebie.

U Ukraińców wstąpiła euforia

Upatrywali w takiej sytuacji swoją szansę na zbudowanie „Samostijnej Ukrainy”. Uważali, że w tamtym regionie Polski już niema. Na powracających do swoich rodzin żołnierzy napadają ukraińscy nacjonaści, odbierają im broń i mundury, a nawet mordują. Te wieści dochodzą szcążtkowo i nasilają strach przed utratą najbliższych.

Mimo, iż w tym czasie miałem zaledwie siedem lat, pamiętam ten moment bardzo dokładnie, jak mój ojciec Szczepan powrócił w mundurze bez wojskowego paska i orzełka na czapce do domu. Miałem to szczęście, że pierwszy go zobaczyłem przed domem i powitałem z wielką radością, tuląc się do Niego. Po serdecznym powitaniu się ojca z żoną, córką, synami i dziadkiem Maksiem, tato opowiadał, że jak wracał do domu przez miejscowość Kozowa, tamtejsi Ukraińcy chcieli go zamordować. Miał wielkie szczęście, że Ukrainka, która tatę znała, wiedziała, że ma czworo dzieci i uprosiła swych przyjaciół ukraińskich, by darowali mu życie. Tak też się stało i tego straszliwego zamierzonego czynu nie dokonali.

W tym czasie wiele się działo. 18 września Puźniczanie byli świadkami przemarszu ogromnej masy wojsk. Twarze maszerujących żołnierzy były jakieś dziwne, nikomu nie znane, ze skośnymi oczami. Okazało się później, że obok radzieckich żołnierzy byli też Mongołowie i Tatarzy. Krótko po ich przejściu pojawili się tzw. propagandziści, którzy wyjaśniali, że Puźniczanie powinni się cieszyć, bo oni przyszli oswobodzić nas od kapitalizmu, burżujów, panów i krwio pijców. Następne tygodnie miały dość spokojnie, jednak sytuacja polityczna i wojenna zmieniała się, jak kalejdoskopie.

30 listopad 1939 roku dla naszej rodziny był bardzo bolesny i trudny. Umiera

nasz ukochany dziadek **Maksio**. Pogrzeb był bardzo uroczysty. Uczestniczyło w niej bardzo dużo osób, bowiem dziadek był znaną i lubianą postacią. Pamiętam ten pogrzeb. Na czele tego uroczystego konduktu, zmierzającego na cmentarz mój brat **Zdzisław** niósł krzyż. Ja bardzo kochałem dziadka i nie mogłem się pogodzić z Jego odejściem. Żal ścisnął serce ale musiałem pogodzić się z tym faktem.

Nasze życie musiało jednak płynąć dalej. Mama Joanna odziedziczyła po ojcu sklep, całkiem przyzwoite pieniądze, duży ogród i sad we wsi. Rodzina Krowickich była teraz bardziej majątna, ale czasy były bardzo trudne i nieciekawe.

Tu i ówdzie słyszy się, że NKWD zwołuje spotkania i werbuje donosicieli.

Wywózki na Sybir

W kraju następują aresztowania ludzi związanych z policją przedwojenną, sądownictwem i innych wypełniających władcze funkcje państwowe. 10 lutego 1940r. funkcjonariusze NKWD przyjechali także w nocy do Puźnik.

Obudzili ludzi wskazanych na listach. Kazali się pakować, pozwolili zabrać tylko rzeczy najpotrzebniejsze. Nic nie mówiąc i nie wyjaśniając dokąd ich zabierają i dlaczego. Ładują ich na przygotowane wcześniej sanie i odjeżdżają w nieznanym kierunku. Tej nocy wywieziono m.in. **Jana Kanię, Albina i Tadeusza Krzywonia, Kryspina Maślankę, Szymona Pałkę i Tomasza Zapałowicza**. W kwietniu NKWD aresztowało **Jana Działoszyńskiego i Karola Łapiaka**. Zesłani na Sybir już nigdy nie powrócili, zaginęli bez wieści.

Agitatorzy w tym okresie robią swoje. Co kilka dni zwołują zebrania wiejskie, na których przekonuje się mieszkańców, że najlepsza gospodarka rolna, to kołchozy. Co robić? Opornych mogą przykładowo wywieść na Sybir. Ludzie są załamani. Podatki są tak wysokie, aby chłop nie wytrzymał i wstąpił do kołchozu. Chętnych nadal nie ma. Wszyscy stracili nadzieję, aż tu nagle w popłochu idą rozbitkowie Armii Czerwonej. Biegają przez pola, bez broni. Jest wielu rannych. Miejscowi Ukraińcy, rabują ich a często i dobijają rannych. Pozostawioną broń i sprzęt także rabują ukraińscy nacjonaści.

Okupacja niemiecka

Do Puźnik wkraczają Niemcy. W porozumieniu z ukraińskimi przywódcami tworzą

pojedyncze oddziały. Taki też utworzony został w Puźnikach. ¹²¹ Ich celem było m.in. organizowanie łapanek, by zaciągnąć ludzi do Niemiec na tzw. roboty.

Dość powszechnie stosowano konfiskatę różnego rodzaju żywności. W Puźnikach panuje straszliwy głód, skutkiem tego zwiększyła się umieralność. Mama Joanna na przemian ze mną i bratem Zdzisławem próbowała ratować sytuację udając się z tytoniem do Monasterzysk, Buczacza, a także do różnych innych miejscowości, by go wymienić na jedzenie. Dobytek rodzinny w postaci zboża, drobiu i świń skonfiskowali uciekający Rosjanie. W jedzeniu królowała popularna lebioda. Dramat wsi trwał długo. Głód mieszkańcom towarzyszył, aż do pierwszych zbiorów zbóż, którym nie dawano możliwości do pełnego ich dojrzenia. Niepewność przysłowiowego dnia jutrzejszego, zmusiła mieszkańców do zorganizowania samoobrony, przed ukraińskimi nacjonalistami.

Z inicjatywy Armii Krajowej komendantem w Puźnikach został wielce zasłużony dla wsi **Mieczysław Warunek**, późniejszy sybirak. Była to grupa bojowa działająca w tajemnicy. Tymczasem w sierpniu 1943 oddział partyzancki „Kowpakowa” przebijając się w kierunku gór, zatrzymał się w lasach niedaleko Puźnik, w rejonie tzw. łągów, obok płynącej rzeczki i dalej zarośniętych wzgórz wysokimi drzewami bukowymi i dębowymi.

W tym miejscu rozegrała się wielka bitwa partyzantów, dowodzonych przez Kowpakowa z Niemcami, którzy wiedząc, że tam są partyzanci postanowili ich zlikwidować, by ich nie nękali zasadzkami. Niemcy ponieśli tu sromotną klęskę. Zginęło ich kilkuset. W następstwie tych wydarzeń, Niemcy podjęli w Puźnikach działanie pacyfikacyjne. Wraz z policją ukraińską, otoczyli całą wieś i postanowili ją spacyfikować. Przeszukiwano dom po domu. Zabrano wtedy kilku mężczyzn przeznaczonych do rozstrzelania, a wiele kobiet zabrano na roboty do Niemiec.

W tym samym dniu **Józefowi Jasińskiemu**, który dobrze mówił po niemiecku, udało się zmylić Niemców mówiąc „że oddziały partyzanckie to tak naprawdę Rosjanie”. Dzięki niemu odstąpiono od pacyfikacji i egzekucji. To wydarzenie nie obyło się dla mieszkańców Puźnik bez problemów, bowiem ukraińska policja dowiedziała się, że uczestnicy samoobrony posiadają broń.

Wojenna rzeczywistość

Ze wspomnień starszych Puźniczan wynika, że w ostatnich dniach stycznia 1944

r. w Puźnikach zjawiała się policja aresztując sześciu mężczyzn za rzekome niewywiązywanie się z obowiązków kontygentowych. Wszystkich aresztowanych mieli przewieźć ich do Koropca, jednak samoobrona zorganizowała skuteczną odsiecz. Nie obyło się bez strat ludzkich. Ciężko ranny **Roman Buchwald** zmarł.

Niedługo po tym, oddziały sowieckie wycofują się, rabując co się da. Rosjanie wciąż się bronią, ale Niemcy z wielką siłą atakują przy udziale artylerii. Walka toczy się na terenie Puźnik i w okolicznych wsiach. Wśród ludzi są zabici i ranni. Niemcy ponownie opanowują teren i wprowadzają do Puźnik kilkuset żołnierzy, którzy zajmują kwatery, lokując po kilku żołnierzy w każdym domu. Puźniki stają się strefą przyfrontową. Cały teren obstawiony zostaje karabinami maszynowymi. Niemcy organizują spis mieszkańców. Gdyby nie daj Boże ktoś miał przodków Żydów, to czekała go pewna śmierć.

Moja matka Joanna mimo tej świadomości przechowywała małżeństwo żydowskie w specjalnym miejscu nad oborą, bardzo wiele ryzykowała. Udało się im przeżyć. Natomiast ich córka **Tuśka** udawała córkę sąsiadki **Kosteckiej**³¹. W Puźnikach przechowywano wielu Żydów, także na plebanii, ale o tym wiedziało niewiele. Po wojnie Tuśka zamieszkała w Kanadzie, ale po śmierci mamy kontakt się z Nią się urwał. Mój list wysłany na adres Tuśki w Kanadzie po śmierci mamy powrócił jako zwrot, bo podobno zmieniła adres.

Życie Puźniczan jednak toczy się dalej, ale nie całkiem normalnie. Mieszkańcy muszą ciężko pracować w polu, bowiem przełom wiosny i lata tego wymagał. Dzieci wypasają krowy i pozostałe po zaborze przez Rosjan i Niemców konie. Ludzie powoli oswajają się z obecnością wojska i zaczynają handlować zbiorami zbożowymi i zwierzętami. Kury, jajka, można zamienić z Niemcami na koce, płaszcze wojskowe, a czasem nawet buty. Trzeba się dogadywać. Prawdę mówiąc, pod ochroną wojska Puźniczanie byli dość bezpieczni, nie nękali ich ukraińscy nacjonaści, ale do czasu.

We **wrzeźniu 1944 r.** nocą, „banderowcy” (oddziały ukraińskich nacjonalistów) ponownie dali znać o sobie podpalając część zabudowań naszej wioski. Spłonęły wówczas zabudowania: Dancewiczów, Rolów, Krzezińskich i Wiśniewskich. Z tych płonących jak pochodnie domów wyskakiwali obudzeni krzykami sąsiadów ze snu ich mieszkańcy. Podpalanie domostw i pojedyncze a nawet grupowe mordy stały się wówczas dość częstym zjawiskiem. Nacjonaści ukraińscy próbowali spalić więcej zabudowań, ale w tym czasie im się to nie udało. Kilka tygodni później

banderowcy znowu podpalili kolejne domostwa. Po tym wszystkim przyjechała policja ukraińska, ale niczego nie ustaliła.

Walki frontowe w okolicach województw stanisławowskiego i tarnopolskiego ciągle trwały. Puźniczanie byli znowu świadkami częstego przemieszczania się wojsk niemieckich i rosyjskich. W lipcu Niemcy wycofali się w panice pozostawiając wiele broni i amunicji. Walki toczyły się na terenie wsi. Linii frontu broniły w ramach niemieckich wojsk niezdarne oddziały węgierskie. Kiedy front się przesunął na zachód w kierunku Niżniowa, wieś wyglądała jak pobojuwisko. Puźniczanie zbierali porzuconą przez Niemców broń, amunicję chowając ją z myślą, że w tych czasach będzie ona potrzebna.

Władza radziecka

Tymczasem w Koropcu umacniała się władza radziecka. Utworzono powiat, skąd administrują terenem. Szeroko zachęca się ludzi do wstąpienia w ochotnicze szeregi Wojska Polskiego, które powstało w ZSRR. Jest jednak problem z członkami AK, bo NKWD zaczyna węszyć. Starszyzna AK, po konsultacjach podjęła decyzję, by dwóch mężczyzn zgłosiło się do władz sowieckich jako przedstawiciele samoobrony, by w ten sposób wybadać, jak zareagują. Popełniono jednak duży błąd, bowiem NKWD natychmiast ich aresztowało i oskarżyło o przynależność do wrogiej organizacji, po czym zesłano ich na Sybir. To przekonało członków AK i samoobrony, że nie mogą się ujawnić. Szukali jednak sposobu, aby uniknąć aresztowania. Niedługo nadarzyła się okazja.

Pod koniec sierpnia 1944 dokonano rejestracji mężczyzn w wieku od 20 do 50 roku życia. Wydano też zarządzenie, że kto ochotniczo wstąpi do Batalionów strzeleckich „**Istrebitilnyj batalion**” przeznaczonych do walki z bandami tu na miejscu, będzie zwolniony od poboru do wojska. Wiele osób wstąpiło w jego szeregi. Wcielony do niego został także m.in. mój ojciec Szczepan i szwagier **Mietek Rola**, mąż siostry Janiny. Jako młody żonkoś nie bardzo był rad z tego wcielenia do wojska. Uznał, że musi pozostać dłużej przy żonie. Obmyślił dziwaczny diabelski plan, który miał służyć za uzasadnienie usprawiedliwiające jego powrót do służby. Po kilkunastu dniach podczas przepustki, nie chcąc wracać do batalionu, sam się postrzelił, w lewą rękę i to w dodatku w główną tętnicę. Niestety zmarł.

Wcieleni do służby wojskowej młodzi mężczyźni mieli być skutecznymi obrońcami

ludności polskiej przed napadami banderowców. Okazało się, że nadzieje były płonne, bowiem komendantami i dowódcami w tych batalionach byli na ogół oficerowie sowieccy, a wśród nich i Ukraińcy. Z opowiadań ojca Szczepana uczestniczącego w likwidacji ukraińskich band wynikało, że zdarzało się, iż właśnie oni, ci dowódcy współpracowali z banderowcami. Potwierdzały to m.in. takie fakty. 4 lutego 1945 roku, władze radzieckie ściągnęły 90% stanu baryskiego wojska ok. 7 km od Puźnik do sąsiedniego miasta Buczacza, rzekomo w obronie miasta przed napadem. Jednak w nocy z 4 na 5 lutego banderowcy napadli na Barysz. Przebywający w Buczaczu członkowie batalionu chcieli natychmiast iść na pomoc. Dowódca jednak powiedział, że jeśli ktoś opuści batalion, zostanie rozstrzelany. Po napadzie na Barysz, można było się spodziewać ataku na Puźniki.

Te i inne działania nękające z różnych stron Puźniczan zmusiły moich rodziców, do podjęcia decyzji o przeprowadzce do Cioci **Józi Kamińskiej**, mieszkającej z synem **Franciszkiem** w centrum wsi, która jak się później okazało ta decyzja była naszym zbawieniem. Pozostając na Nagórzance podzielibyśmy los sąsiadów, którzy pozostali w swoich domostwach.

W dwu izbowym mieszkaniu u Cioci spało się tam na podłodze i na łózkach, łącznie 15 osób, choć trudno tu mówić o spaniu. Po tym wydarzeniu policja ukraińska już więcej w Puźnikach się nie pokazała, gdyż wielu z nich zostało poranionych. Dramat mieszkańców Puźnik nie wynikał wyłącznie z walk, które przetaczały się wokół wsi, ale przede wszystkim z nękania Polaków przez ukraińskich nacjonalistów. I temu służyła eksterminacja Polaków, bestialskie masowe mordy.

Masakra z Zalesiu

8 lutego w **Zalesiu** oddalonym ok. 4 km od Puźnik dokonano masakry mieszkających tam Polaków, a także stojących w ich obronie ukraińskich sąsiadów. Młynarza **Jarosława Danyłowycza**, syna Ukraińca i Polki, który próbował przeciwstawić się masakrze, przywiązano do sań i włączono polnymi drogami. Po kilkudziesięciu kilometrach skatowanego przywalono kamienną płytą, aby skonał w męczarniach. Jego matkę **Bronisławę** spalono żywcem w suszarni tytoniu wraz z grupą innych Polaków którzy wybrali się do młyna w Zalesiu. W Zalesiu znaleźli się też mieszkańcy z Puźnik, a także sąsiedniej wsi Nowosiółki, którzy udali się do młyna w Zalesiu po mąkę. Wszyscy zagarnięci zostali przez banderowców z obstawionych przez nich dróg.

Miedzy innymi byli: kilkunastoletnia **Danuta Borkowska** z babcią oraz **Maria Jarzycka**, **Władysława Jasińska**, **Anastazja Łapiak**, **Domicela Jasińska** i **Genowefa Kulikowska** wraz z dziećmi. Zaprowadzono ich do jednego z domów, gdzie próbowano torturami wymusić informacje na temat polskiej samoobrony w Puźnikach. Władysławie Jasińskiej założono na szyję pętlę i ciągnięto po podłodze, aż skonała, inne kobiety zarąbano siekierami bądź zastrzelono. Z masakry cudem ocalała **Danuta Borkowska** (po wojnie **Ławruszczyk**), która wspomina swoje ocalenie następująco:

*Ja otrzymałam postrzał w lewą dłoń, prawy obojczyk i klatkę piersiową, parę milimetrów od płuc. Miałam także okaleczoną brodę. Przytomność odzyskałam o świcie i zobaczyłam martwą babcię leżącą we krwi obok mnie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności do izby wszedł stary Ukrainiec, znajomy mego ojca. Kiedy to zobaczył, zaczął płakać i kląć na banderowców. Ukradkiem zabrał mnie stamtąd i umożliwił mi ucieczkę do Puźnik. Mimo, iż byłam strasznie obolała poczułam potrzebę ucieczki. Nogi miałam sprawne, ile sił uciekałam od Zalesia. W tym czasie, jak się później okazało, do wsi dotarli partyzanci, którzy przepędzili banderowców, a ja szczęśliwie czołganiem dotarłam do pierwszych zagród Puźnik. Szczęśliwie mieszkała tam moja ciocia **Rozalia Hałuszczynska**, która się mną zaopiekowała. Zemdlona już nic nie pamiętałam. Ciocia poinformowała mego ojca, który w prześcieradłach przewiózł mnie do domu. Tu przez kilka dni leżałam nieprzytomna. Leczyła mnie siostra zakonna **Stefania**.*

Ja jako 13 letni chłopak miałem możliwość przyglądania się tym wydarzeniom. Dokładnie pamiętam, jak Ojciec Danusi wnosił ją do mieszkania. ¹⁴¹

Ja i koledzy byliśmy tym widokiem zdruzgotani. W najgorszych snach nie mogliśmy przypuszczać, że za kilka dni przeżywać będziemy okrutną rzeź, jaka wydarzyła się 13/14 lutego a więc w 5 dni po tym.

W przeciwieństwie do napadu w 1944 r., kiedy we wsi stacjonował oddział AK, siły obrońców były dużo skromniejsze. W dodatku większość Polaków – członków Istriebitielnych Batalionów – z Barysza i Puźnik działających pod komendą sowiecką, otrzymała rozkaz stawienia się w Buczaczu, co zupełnie osłabiło polski potencjał. Niektórzy mieszkańcy postanowili opuścić wieś.

Pamiętam, że wieczorem w domu Cioci **Kamińskiej** odbyła się spokojna i długa

rozmowa. Uczestniczyli w niej także dwaj rosyjscy oficerowie, którzy zawitali do cioci na wieczorną herbatkę. Oprócz naszej rodziny Krowickich i Kamińskich, przysłuchiwała się siostra **Janina Rola** przygotowująca się do porodu. Przeważała opinia, że banderowcy zaatakują Puźniki, a nasza samoobrona jest zbyt słaba, aby nas obronić. Na pytanie, czy obstawa, dwóch rosyjskich wojskowych dowódców z członkami samoobrony, pomogą obrońcom wsi w razie konieczności bronić mieszkańców, na twarzy ich pojawiła się ironia i grymas, by odpowiedzieć, że takiego zamiaru nie przywidują. Tak też się stało. Gdy rozpoczął się napad, natychmiast uciekli do Koropca, pozostawiając Puźniczan do samotnej obrony.

Pogrom w Puźnikach

Z **13 na 14 lutego 1945** roku, około godziny pierwszej w nocy w Puźnikach rozpoczęło się prawdziwe piekło. Wieś otoczyły liczne bojówki UPA. Mimo, że rozstawione były warty i spodziewano się napadu, ludność została zaskoczona silnym ogniem z broni maszynowej, przy równoczesnym wzniesieniu wielu pożarów w różnych miejscach wioski. Obrona już na początku została dezorganizowana i każdy działał na własną rękę. W dwu izbowym mieszkaniu u Cioci spało na podłodze i na łóżkach 15 osób, choć trudno tu mówić o spaniu.

Tej nocy rozpoczęła poród moja siostra **Janina**. Podobno dziecko już miało się urodzić, kiedy brat **Zdzisław** zaczął krzyczeć, że wokół wszędzie się pali. Wszyscy w wielkim pośpiechu ubrali się i pobiegli w kierunku nieopodal zlokalizowanej plebanii. Na nasze szczęście, towarzyszyli nam w tej ucieczce w formie ochrony polscy „istribitkowie” z koropieckiego Istribitielnego Batalionu, dzięki którym udało się poprzez wybite szyby w oknie wejść do wnętrza plebanii. Bardzo utrudnione było także dostanie się na jej piętro, bowiem ci, którzy się tam wcześniej ukryli przed napadem, schody zaszalowali deskami i je wywoskowali, by utrudnić ewentualny napad banderowców i ułatwić sobie obronę. Poradzono sobie i z tym problemem poprzez wyciąganie na piętro linami. Dzięki Bogu i pomocy „Istribitków”, wszyscy dostali się na piętro i byli w jakimś sensie bezpieczni. Ochrona na zewnątrz była tylko do czasu. Potem obronę przyjęli mieszkańcy plebanii.

Ja przeżyłem szczególnie ten czas. Ukryłem się ze strachu na strychu pomiędzy belkami i zmarznięty obserwowałem przez lufcik w dachu tą straszliwą pożogę, przy akompaniamencie świszczących kul i oddalonych jęków mordowanych

Puźniczan. Dopiero o świcie dowiedziałem się, gdzie znajduje się moja rodzina no i że jestem wujkiem dla nowo narodzonej dziewczynki, której nadano imię **Miecia**.

Poranne promyki słońca odkrywały ogrom tragedii. Po opuszczeniu wsi przez banderowców, rozpoczęło się poszukiwania swoich bliskich. Pomordowanych trudno rozpoznawalnych Puźniczan zbierano przez kilka dni. Wszystkich pochowano w zbiorowej mogile na miejscowym cmentarzu. W Puźnikach w tą nocną środę popielcową zamordowano, jak pamiętam, około 70 osób i spalono większą część zabudowań mieszkalnych i gospodarczych wsi.

Wszyscy Ci, którzy przeżyli tą makabryczną noc, zamiast radowania się pogodnym niebem, wspaniałą mroźną zimą, przeżywali wewnętrzny dramat, rozpacz, strach i ból po utracie bliskich. Zapanował powszechny lęk, obawa o dalsze życie i niewiarygodny żal, rozpacz i smutek. Po napadzie, jeszcze przez jakiś czas mieszkaliśmy w Puźnikach. Trzeba było pogodzić się z myślą, że i tak musimy je opuścić .

Dzieci Borkowskich nie były uczestnikami tego dramatu, bowiem **Józef Borkowski** 10 lutego jakby przeczuwając, zawiózł **Danutę**, **Rysie** i **Zdzisławę** do Buczacza, a sam powrócił, by zabrać trochę dobytku i żywności. Niestety nie dane mu to było. Został zakłuty przez banderowców bagnetami i wrzucony do ognia w pobliżu słynnego rowu znanego dziś jako **row Borkowskiego** a matka **Janina** została ciężko ranna.

Ja wspominał **Stefan Dancewicz**, jego matka a moja Ciocia **Honorata Dancewicz**, uratowała się w ostatniej chwili przed niechybną i nie wiadomo jak tragiczną śmiercią:

Gdyby nie Wielka grota [kapliczka obok kościoła], w której umieszczona była figura Matki Boskiej, za plecami której w ostatniej chwili ciocia się schowała obejmując Ją za szyję prosząc Ją cicho o ratunek. Szeptem wypowiadała słowa: „Przenajświętsza Matko ratuj mnie” i dzięki temu mimo, iż w okropnym przerażeniu w siarczystym mrozie, uratowała swoje życie.

Wyjazd

W końcu zdecydowano, że dla ratowania życia musimy opuścić naszą ojcowiznę. Opuszczano ją z nadzieją szczęśliwego powrotu, co niestety nigdy nie nastąpiło.

Na wyjazd na Odzyskane Ziemie Zachodnie czekali kilka miesięcy w historycznym Buczaczu. Tu nad rzeką Strypą, blisko znanego źródła Jana III Sobieskiego i w pobliżu ruin zamku otrzymaliśmy przejściowo parterowy domek (pokój z kuchnią o niespełna 30 metrów kw.). Nasza 6 osobowa rodzina plus trzymiesięczna córka siostry Janiny. Mieszkaliśmy tak blisko pół roku. Ja, jako najmłodszy zajmowałem się sprzedażą przypraw do mięs, którą z braćmi przywieźliśmy z niemieckiej przetwórni mięsnej w Puźnikach. Robiłem także z przewodów elektrycznych spinki i sznurówki do butów, które także sprzedawałem na bazarze. Za uzyskane pieniądze kupowałem mąkę i inne produkty spożywcze na święta wielkanocne.

Podobnie jak my, wielu innych Puźniczan wyjeżdżało z całymi rodzinami i z tym wszystkim, co pozostało. Większość tych rodzin przeprowadzała się do Buczacza, gdzie zajmowali pożydowskie wolne mieszkania. W pierwszych dniach czerwca ogłoszono, że będą podstawione wagony do wyjazdu na Ziemie Odzyskane.

Tragedie, jaką przeżyli Puźniczanie w złotych strofach dla potomnych zawarł **Edmund Działożyński** w „[PUŹNICKIEJ BALLADZIE](#)„.

„Warszawa nie istnieje”

Mojej ukochanej wsi Puźniki już nie ma. Ze wspomnień wielu byłych mieszkańców Puźnik, którzy mieli okazję i odwagę odwiedzić po latach swoją rodzinną wieś, wynikało jednak, że jeszcze w 1946 r. mieszkało tam kilkanaście rodzin przywiezionych Łemków i Ukraińców w budynkach, które ocalały z tej pożogi. Utworzono nawet szkołę zbiorczą w budynku plebanii dla Puźniczan i dzieci z okolicznych miejscowości.

Ale już w 1949r. w wyniku politycznych nacisków tamtejszych władz sowieckich a także specyficznej negatywnej propagandy Ukraińców, podjęto decyzję o likwidacji tamtejszych „chutorów” do których wliczono ocalałą część wsi Puźniki.

I stało się, Puźniki przestały fizycznie, przynajmniej dla rodowitych mieszkańców istnieć na zawsze. Po dawnej sielankowej świetności ludzi Puźnik, którzy przez wieki żyli szczęśliwie, choć w wielkim trudzie i znoju, ale na swoim i wśród bliskich. Dziś pozostali już tylko nieliczni mieszkańcy tej wsi rozsiani w zachodniej Polsce. W ich sercach pozostał tylko głęboki ból, serdeczny żal i wspomnienia, jakby z zamierzchłych czasów. Ci, którzy odwiedzali te niegdyś

piękne tereny byli smutnymi świadkami, że nie ma już najmniejszego śladu z dawnych Puźnik. Pozostałe tylko chaszczce i zarośla, a nawet powysychały urokliwe kryniczne zdrowotne źródelka.



Bogusław Krowicki, Niemysłowice 1951



Na sesji MRN w Opolu po objęciu funkcji Zastępcy Przewodniczącego Prezydium MRN

[1] Najprawdopodobniej były to polskie samoloty, które ewakuowały się do Rumunii 17-go września 1939. Samoloty leciały wtedy dość nisko i bardzo blisko Puźnik ([eskadra myśliwców](#), [64 eskadra bombowców](#), [141 i 142 eskadra bombowców](#)). Natomiast pociski „dum-dum”, to musiał być jakiś inny okres wojny.

[2] Podczas okupacji niemieckiej, oddziały policji ukraińskiej były formowane z mieszkańców pochodzących z okolicznych wsi, głównie z Koropca.

[3] Pani **Wiesława Łapiak**, wnuczka Marii Koryzna, przekazała nam informację, że **Tusia** została przywieziona do **Marii Koryzna** przez jej siostrę **Józefę Kostecką**, która pracowała u rodziców Tusi. Tusia miała wtedy 8 miesięcy i przebywała w domu Marii do 1945 roku. Po wojnie, **Tusia Tannenzapf** wyjechała do Kędzierzyna-Koźła, następnie do Niemiec a później do Kanady. Rodzice Tusi, którzy ukrywali się u Joanny Krowickiej, to **Wilhelm** i **Charlota** z domu Mandel. Tusia nazywa się obecnie **Renate Krakauer** i żyje w Toronto.

[4] Inny świadek tego zdarzenia, **Stanisław Baraniecki**, wspomina, że **Danute Borkowską**, która dotarła czołgając się do Puźnik od strony Zalesia, pierwszy zauważył w trawie młody Żyd o imieniu **Michał**, który wziął ze sobą granat myśląc, że to skradają się banderowcy. Gdy zobaczył konającą kobietę, podniósł ją i przeniósł do najbliższej zagrody. Michał ukrywał się podczas wojny u **Kosińskich** i nie wiadomo, jaki był jego los po wojnie.

Przeczytaj wcześniejsze wspomnienia Bogusława Krowickiego:

[Moja rodzinna wieś Puźniki](#)